

JAK TO SIĘ SKOŃCZY

BARBARA RYBAŁTOWSKA

JAK TO SIĘ SKOŃCZY

SAGA
„BEZ POŻEGNANIA”
TOM VI



[Kup książkę](#)

AXIS MUNDI

PROJEKT OKŁADKI: Natalia Harańczyk
SKŁAD: Positive Studio
ZDJĘCIE AUTORKI: Marta Szelichowska
REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska
REDAKCJA I KOREKTA: Elżbieta Makowska
KOREKTA: Iwona Hardej
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

WYDANIE III

ISBN: 978-83-8394-896-6
EAN: 9788383948966
ISBN E-BOOK: 978-83-8394-897-3

Copyright © by Barbara Rybałtowska
Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mieszkanie w przedwojennej dwupiętrowej kamienicy ministerialnej przy ulicy Mochnackiego, otoczonej ogrodem, niewątpliwie miało wiele zalet i jedną wadę. O niej przekonała się Kasia w ciągu trzech miesięcy, które minęły od urodzenia Zosi. Nie zainstalowano tam windy. Przedtem, nawet gdy była już w zaawansowanej ciąży, nie miało to znaczenia, ale teraz dźwiganie po schodach na trzecie piętro wózka dziecięcego z zawartością dawało się jej we znaki.

Wprawdzie kilka miesięcy temu zawiadomiono ich o dobiegających końca pracach w ich wyczekiwanym od lat mieszkaniu spółdzielczym, ale zaaferowani zmianami, jakie nastąpiły w ich życiu po pojawieniu się córeczki, nie kwapili się do przeprowadzki, zwłaszcza że poznali już lokalizację i zamieszkanie w świeżo wzniesionym wieżowcu nie nęciło ich zbyt.

– Wrócę dziś trochę później, mam po pracy konferencję prasową w FSO – powiedział Maciek tamtego dnia, wychodząc.

– Damy sobie radę, nie martw się.

– Nie wątpię. I zadzwoń do spółdzielni. Poproś, żeby przełożyli nasze oglądanie mieszkania na inny dzień. W tym tygodniu nie dam rady.

Kasia, mimo dość licznych obowiązków macierzyńskich, niezmiennie realizowała też polecenia Maćka, spisywane na

pozostawianych jej kartkach. Lubił być szefem, a ona poddawała się temu bez szemrania.

Spółdzielnia mieszkaniowa była niedaleko, przy Słupeckiej. Wystarczyło przejść na drugą stronę Grójeckiej przez plac Narutowicza. Zamiast dzwonić Kasia postanowiła zajrzeć tam, idąc na spacer z córeczką.

Urzędnik rozpoznał ją – był na jakimś koncercie czy *Podwieczorku przy mikrofonie*, w którym brała udział. Dzięki temu przełożenie terminu oglądania mieszkania przyszło bez trudu. Tym bardziej że owo mieszkanie, jak się okazało, nie było jeszcze gotowe do pokazania.

To dziwne, jak mówienie o pewnych sprawach prowokuje uruchomienie działań ich dotyczących. Bo tego właśnie dnia rozpętała się lawina zdarzeń zapowiadających zmiany.

Kiedy Kasia wtaszczyła na górę wózek ze śpiącą córeczką, drzwi otworzyła jej Matylda ze ścierką w ręce. Była podeksytowana.

– Sprzątam, bo o szóstej ma tu przyjść niejaki Janiszewski z Ministerstwa Komunikacji, były podwładny mojego męża. Teraz pracuje na jego stanowisku. Przypomnił sobie nagle o nas.

– Ładnie z jego strony – powiedziała Kasia. – Rozbiorę Zosię, nakarmię ją i pomogę mamie. A w ogóle to co tu sprzątać, przecież w stołowym jest porządek.

– Daj spokój! Nie na tyle, żeby przyjmować w nim gości.

Kasia wzruszyła ramionami. Uznała, że nie warto na ten temat z Matyldą dyskutować. Przed każdymi odwiedzinami kogokolwiek ulegała panice.

Już po wizycie urzędnika Kasia stwierdziła, że cała ta poprzedzająca ją nerwowa krzątanina teściowej była zupełnie niepotrzebna. Bo powód jego odwiedzin nie był bynajmniej odruchem serca.

Po kilku latach od śmierci Marcina Kalczyńskiego, męża Matyldy i ojca Zuzy i Maćka, Ministerstwo Komunikacji postanowiło odebrać rodzinie zmarłego pracownika mieszkanie służbowe. Potrzebne im było dla kogoś ważnego teraz w ich hierarchii. Tak więc oczekiwany w dobrej wierze gość pojawił się z nakazem eksmisji. Nieświadoma niczego Matylda i jej syn powitali go z honorami, wzruszeniem i eleganckim poczęstunkiem. Tym trudniej było mu wyartykułować to, z czym się pojawił. Kiedy wreszcie, czerwony jak burak, z kropelkami potu na nosie i czole, wyłożył, jękając się, swą misję, przy stole zapanowała grobowa cisza. Ani Maciek, ani tym bardziej jego matka nie wiedzieli, co powiedzieć. Spoglądali zszokowani to na siebie, to na gościa, z tak głupimi minami, jakby sobie z nich nieelegancko zażartował. I pewnie by się ich reakcją zdziwił, gdyby miał odwagę podnieść na nich oczy.

Kasia obserwowała całą tę scenę z zapartym tchem przez ażurową ściankę regału, który oddzielał część sypialną pokoju od jadalnej, w której się rozgrywała. Czterdziestometrowy salon pozwalał na takie aranżacje, bo miał dwa ogromne wewnętrzne okna, które rozświećlały każde z zaimprovizowanych pomieszczeń. Nie uczestniczyła w rozmowie, bo zdrzemnęła się po nakarmieniu Zosi, śpiącej obok niej.

Cisza przy biesiadnym stole trwałaby nie wiadomo jak długo, gdyby przebudzona nagle kruszynka nie zakwiliła cichutko.

– Kotek miauknął? Mają państwo kotka? – zapytał urzędnik rad, że może zmienić temat i wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

Muki Czerepowicz, siedzący dokładnie naprzeciw niego na marmurowej półce nad kaloryferem koło okna, wytrzeszczył na gościa swoje turkusowe oczy syjamczyka i z pogardą odwrócił głowę, udając, że wygląda na ulicę.

– Tak, mamy kota. Siedzi przed panem i milczy, a głos, który pan słyszał, należy do wnuczki pana dawnego szefa, którą skazuje pan na zamieszkanie razem z trzema dorosłymi osobami w dwudziestometrowej kawalerce, szumnie nazwanej w pańskiej eksmisji mieszkaniem zastępczym – wypalił Maciek mało życzliwym tonem.

– Ależ panie redaktorze! Ja sam o niczym nie decyduję! Jestem tylko posłańcem. Niewdzięczna rola... Przykro mi. Takie są przepisy dotyczące mieszkań służbowych.

– Przepisy, przepisy... A ludzie? Jak się mają do tego ludzie?

– Niepotrzebnie pan mnie atakuje. Mogliśmy przesłać państwu nakaz eksmisji pocztą. Przez szacunek dla rodziny naszego nieodżałowanego pana Marcina pofatygowałem się osobiście.

– I co, spodziewa się pan oklasków? Chce pan nasycić oczy widokiem upokorzonych, bezradnych ludzi?

– Bynajmniej, ale przecież musieli się państwo z tym liczyć. Ministerstwo ze swej strony sprawdziło wszystko, zanim podjęto konieczne kroki. Wiadomo nam, że państwo młodzi należą do spółdzielni mieszkaniowej, a pani Matylda dostaje od nas mieszkanie zastępcze.

– Jak to pan powiedział o naszej przynależności do spółdzielni: „wiadomo nam”? Bardzo pięknie! Bardzo pięknie! Jesteśmy do tego inwigilowani!

Janiszewski wstał, sięgnął po rękę Matyldy, ucałował ją i powiedział:

– Nic tu po mnie. Chciałem być przyzwoity. Nie było mi miło zostać zwiastunem tych wieści, mimo to podjąłem się niewdzięcznej roli. Składałem wyrazy szacunku i ubolewania, ale w tej sprawie jestem tak samo bezradny jak państwo. Dobranoc.

Sam zdjął swój płaszcz z wieszaka w przedpokoju. Maciek nie odprowadził go do drzwi. Matylda posłała mu zażawione spojrzenie. Spuścił oczy.

– Przepraszam – wyszeptał i wyszedł.

Ruchliwy zazwyczaj Maciek siedział jak skamieniały. Wpatrywał się tępo w dokument eksmisji.

Cała ta sytuacja wydawała się Kasi nierealna. Wzięła dziecko na ręce i podeszła do Matyldy.

– Nic ci nie jest? – zapytała. – Gdzie są twoje krople na serce?

– Na toaletce – odpowiedziała i zwróciła się do syna: – To ile nam zostało czasu?

– Co ty mówisz, Matyldo? Jak to, ile nam zostało czasu? – przestraszyła się Kasia.

– Mama myśli o przeprowadzce. Trzeba będzie zobaczyć to mieszkanie zastępcze. Nie martw się mamó. W razie czego zamieszkasz z nami.

Długo jeszcze w ten wieczór rozmawiali o tym, co ich czeka w ciągu najbliższych dwóch miesięcy, bo w takim czasie musieli zwolnić mieszkanie.

Matylda starała się zachować spokój. Powtarzała w kółko, że przecież powinna była się spodziewać takiego obrotu spraw. I tak udało się im nie ruszać z miejsca przez kilka lat. Tłumaczyła to sobie i swemu synowi, jak mogła, byle go uspokoić. Wiedziała, podobnie jak jej synowa, że nie jest on stworzony do porażek życiowych. Nie potrafi ich znosić spokojnie ani stawiać im czoła.

Rano jednak trzeba było ją zawieźć na pogotowie. Trafiła na oddział kardiologiczny szpitala na Hożej. Po tygodniu wróciła do domu uspokojona i wyciszona.

Przyjechała z Krakowa Zuza. Jak twierdziła, po to, żeby pożegnać się z mieszkaniem ojca, skoro ma być im odebrane.

A tak naprawdę postanowiła zabrać matkę na święta Bożego Narodzenia do siebie, żeby w nowym otoczeniu odpoczęła od czekających ją zmian.

Zuza była inicjatorką pomysłu, żeby wszyscy razem obejrze-
li przydzieloną Matyldzie kawalerkę i zaplanowali, co można
do niej zabrać i jak ją urządzić.

– W ten sposób – powiedziała – mama będzie spokojniejsza,
wiedząc, co ją czeka, i nie zostanie z tym sama.

– No wiesz – zaproponował Maciek – a my to co? Myślisz, że
moglibyśmy zostawić ją z tym samą?

– Nie myślę tak, ma się rozumieć, ale im nas będzie więcej,
tym lepiej.

Mieszkanie zastępcze, które obejrzelі wspólnie, nie wyłącza-
jąc Zosi w beciku, miało jedną podstawową zaletę. Znajdowało
się w tym samym rozbudowanym budynku przy ulicy Żela-
znej, tuż przy jej zbiegu z Alejami Jerozolimskimi, w którym
rodzina Kalczyńskich mieszkała przed wojną. Wcześniej nie
skojarzyli sobie tego, bo zmylił ich adres, który w dokumencie
przydziału brzmiał: ulica Chmielna 73.

Odkąd w Śródmieściu w Warszawie stoi Pałac Kultury,
mało kto pomyśla, że Chmielna, a teraz Rutkowskiego, pełna
sklepików aż po Nowy Świat, ma swój dalszy ciąg za placem
Defilad w stronę Dworca Głównego. Tak więc Kalczyńscy,
szukając adresu nowego lokum, pojechali najpierw na Kruczą
i skręcili w lewo w Chmielną obok nowych wieżowców. I tu
konsternacja. Numery biegnące w górę od Nowego Światu do
Marszałkowskiej kończyły się na dużo mniejszym, niż mieli
na dokumencie.

– Że też nie sprawdziłem tego na planie! – Uderzył się
w piersi Maciek i wyciągnął plan Warszawy ze schowka. –
A więc tak, trzeba wrócić i wjechać od Żelaznej.

- Obok naszego dawnego domu? – ożywiła się Matylda.
- Tak, to musi być gdzieś tam.

Jeszcze raz skręcając z Alej Jerozolimskich, zatrzymali się przed kamienicą, w której mieszkali przed wojną. Popatrzyli na okna na pierwszym piętrze, poopowiadali sobie po raz kolejny o rozkładzie apartamentu, o pokojach w amfiladzie i długim korytarzu, po których mały Maciek ze skye terrierem Blackiem gonili się bez przerwy. Powzruszali się i skręcili w Chmielną. Szybko zorientowali się, że dobrnęli do celu.

Dawna kamienica została przebudowana na wielki czworobok, uzupełniony o sześciopiętrowe domy stanowiące monolit. Nowy twór niezbyt pasował do stylowego frontonu, był toporny i przaśny, ale fakt, że obie budowle połączono w jedną całość, usposobił doń życzliwie Matyldę. Była pod ekscytowana.

– No patrzcie, kto by pomyślał, że wrócę tu na stare lata?! Życie jest doprawdy nieprzewidywalne! Czuję w tym rękę Boga! – entuzjazmowała się.

Weszli do wskazanej w dokumencie bramy, odczytali z tabliczki informację, że mieszkanie numer 68 znajduje się na szóstym piętrze i weszli do windy. Z trudem się w niej we czworo plus Zosia zmieścili. Winda skończyła swój kurs na piątym piętrze. Do szóstego trzeba było dotrzeć stromymi i wąskimi schodami.

– Musimy się zastanowić, jakie meble tu zabrać, duża szafa mamy raczej tędy nie przejdzie – zauważyła Zuza.

Maciek nad głowę Zuzy zrobił do niej minę ostrzegającą przed zniechęcaniem matki. Ona jednak była w dobrym nastroju, wynikającym z odkrycia, gdzie znajduje się jej przyszłe mieszkanie. O tym, żeby go nie przyjąć, i tak nie mogło być mowy. Oferta była tylko jedna.

Kluczem wyjętym z koperty otworzyli drzwi i całe królestwo ukazało się ich oczom. Znaleźli się od razu w pomalowanym na biało kwadratowym niewielkim pokoju. Naprzeciw okna znajdowała się w nim otwarta wnęka kuchenna wielkości szafy, a obok niej drzwi do łazienki. Prawie całą jedną ścianę zajmowało okno z parapetem z grubej deski. Wnęka kuchenna nie była znowu taka duża – trochę ponad dwa metry... Jedna ze ścian była drewniana i okazała się przesuwanymi drzwiami do dużej szafy.

– Mieszkanko dla lalek – powiedziała Matylda. – Dobrze, że chociaż jasne, no i w tym domu... To jest jego niewątpliwą zaletą.

Towarzyszące jej osoby milczały. Trudno im było sobie wyobrazić, jak można się tu zaasymilować po zamieszkiwaniu w przestronnych pokojach stylowej kamienicy przy Mochackiego.

Zuza wyjęła z torebki notatnik i miarkę, naszkicowała plan mieszkania i pozapisywała dokładnie wszystkie jego wymiary.

Wyjrżeli za okno. Widać było z niego wieżę Pałacu Kultury, ale trzeba było się wychylić, żeby ją zobaczyć. W dole widniała, jak w tunelu, wąska uliczka prowadząca do Chmielnej, niskie dachy domów po jej drugiej stronie. Żadnych drzew, żadnej zieleni z okien nie było widać.

Wszyscy oprócz Matyldy byli przygnębieni. Ona była skłonna przymknąć oczy na niedostatki swojego nowego lokum z powodu jego przynależności do budynku, który zapisał się złotymi zgłoskami w jej pamięci.

– Słońce raczej ci nie dokuczy – zauważyła Zuza. – Okno wychodzi na wschód. Trzeba będzie zawiesić gęste zasłony, żebyś się za wcześnie nie budziła.

– Chwała Bogu, że to nie południe lub zachód, usmażyłabym się w tej klatce – odrzekła niezrażona Matylda.

Kalczyńscy w niewesołych nastrojach wrócili do domu. Jeszcze tego popołudnia Maciek odwiedził siostrę i matkę na dworzec. Kiedy wrócił, położył się przodem do ściany, co było nieomylnym znakiem, że jest w depresji, i zasnął. Zawsze tak robił, odsypiał zmartwienia, obrażony na cały świat. Kładąc się, prosił, żeby Kasia obudziła go na kąpiel dziecka, ale ona postanowiła dać mu tego wieczora spokój. Sama zajęła się Zosią, a kiedy ją uśpiła, zadzwoniła do Zamościa do matki. Rozmawiały przez telefon prawie codziennie, ale nie widziały się od dawna. Odkąd Teofil stał się mniej sprawny, Zofia przestała podróżować, bała się go zostawiać samego. Była wprowadzie w domu Pelasia, która tak samo jak w ubiegłym roku nie została przyjęta na studia, mimo dobrze zdanego egzaminu. Znowu zabrakło jej punktów za pochodzenie, zaangażowanie społeczne i inne bzdety. Od listopada pracuje w biurze urzędu miasta, więc od rana do godziny czwartej po południu nie ma jej w domu.

– Co tam słysząc, córeczko? – Usłyszała Kasia głos matki. – Jak tam moja imienniczka rośnie?

– Trzyma główkę prosto, rozgląda się i gaworzy do lalki. Jest dzielna jak jej babcia. Ale poza tym mamy same kłopoty. W ciągu dwóch miesięcy musimy opuścić mieszkanie. Mówiłam ci, że ono jest służbowe, a ojciec Maćka nie żyje już prawie osiem lat.

– I cóż wy, biedaki, zrobicie?

– Matylda na wieść o tym wylądowała w szpitalu. Dlatego nie dzwoniłam. Ale sytuacja jest już opanowana. Zuza zabrała ją do siebie na święta. Obejrzeliśmy oferowaną jej kawalerkę. Jest malusieńka, na szóstym piętrze. Winda dochodzi tylko do piątego piętra, potem trzeba się wspinać po wąskich, stromych schodach jeszcze jedno piętro. Wiesz, to całe blokowisko jest

dobudowane do przedwojennej kamienicy, w której Kalczyńscy mieli apartament przed wojną.

– Co ty powiesz? Niesamowite, co za zbieg okoliczności.

– Właśnie. Dzięki temu Matylda zaakceptowała tę klitkę, z sentymentu do dawnych czasów. Upatruje w tym jakiegoś znaku, zrządzenia losu.

– A wy? Gdzie będziecie mieszkać?

– Czekamy na przydział. Byłam w spółdzielni, zobaczymy naszą przysiań jeszcze przed świętami.

– Więc nie wiesz, gdzie ona jest, jak wygląda?

– Wiem, że będą to dwa pokoje z kuchnią, o powierzchni około czterdziestu metrów kwadratowych. Reszcie przyjrzymy się na miejscu.

– Czterdzieści metrów? Nie za wielkie na trzy osoby.

– Och, mamusiu, nie każdy ma tyle szczęścia co ty. Przy twoich stu czterdziestu metrach wszystko będzie wydawać się ciasne. Tu, w Warszawie, wszyscy są stłoczeni jak śledzie.

– A więc w święta będziecie sami?

– Wyjeżdżamy.

– Z takim małym dzieckiem? A dokąd to?

– Maciek chce jechać w góry.

– Nonsens. Zosia jest za mała.

– Też mi się tak zdaje, ale przekonać Maćka do zmiany postanowienia nie jest łatwo.

– Przyjedźcie do nas. Będziemy w komplecie. Nawet Piotruś dostaje urlop z wojska.

– Nie wiem, czy to się uda. Spróbuję namówić Maćka.

Rzeczywiście nie było to łatwe, ale po kilku burzliwych rozmowach i wsparciu lekarki Zosi Maciek się poddał.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pojechali na święta do Zamościa. Stawili się tam wszyscy: oni, Ania z synkiem i mężem oraz Piotrek. Bliźniaczy brat Pelasi, ostrzyżony krótko, w mundurze z naszywkami kaprała, przyciągał wzrok, taki się z niego zrobił przystojniak. Pelasia ani na moment nie chciała odejść od Zosi, a synek Ani, Norbert, trzymał się jej spódnicy.

Skoro najmłodsza z sióstr z zapalem zajęła się dziećmi, Kasia z Anią zaoferowały swoją pomoc w kuchni. Razem z dziećmi przebywało w domu dziesięć osób, trzeba było nieźle się krzątać, żeby wszystkim zapewnić odpowiednią ilość świątecznych specjałów. Tak się utarło w domu Zofii, że to ona zajmowała się gotowaniem. Córki dawniej nie bardzo kwapiły się do wyręczania jej w kuchni, ale przed świętami było inaczej. Kasia i Ania prowadziły już własne domy, do których chętnie przenosiły zwyczaje żywieniowe matki. Odkąd miała telefon, ciągle instruowała młode gospodynie, jak się to i owo gotuje.

W przygotowaniu świąt od dawna chętnie uczestniczyły wszystkie. To był magiczny czas. Przy lepieniu uszek do barszczu i pierogów słuchały opowieści matki, jak to było dawniej w rodzinie. Jak gotowano, świętowano, celebrowano. Jak elegancko bywało we dworze u babci Piaseckiej, jak biednie na zsyłce. Słuchali o choince z tui w Afryce, o lepioszce kukurydzianej w Kirgizji, o tym, co można było czymś zastąpić,

a o czym tylko pomarzyć. W pracach kuchennych zawsze uczestniczyli na równi z dziewczętami Piotrek i Teofil, który kroił karpie, zdejmował z nich łuski, po czym mył te łuski, suszył i po kilka opakowywał celofanem, żeby każdemu dać do portfela pakiecik na szczęście w finansach na cały rok.

Teraz Teofil siedział wprawdzie przy wielkim stole w kuchni, bo ostatnimi czasy było to jego ulubione miejsce, ale jego obecność była symboliczna. Przyklękawszy na jednym kolanie, opierał się łokciami o blat i palił papierosa za papierosem, głuchy na prośby Zofii, żeby dał temu spokój i nie zatruwał dymem siebie i innych.

Nie słuchał, co się do niego mówi, nie wtrącał się do rozmów. Tylko patrzył i palił bez opamiętania. Obecny fizycznie, faktycznie był jednak wycofany, jakby przebywał w innej, nierzezywistej przestrzeni. W czasie dwóch dni pobytu Kasi i Maćka odezwał się do nich tylko raz, w przedwigilijny wieczór, kiedy wyjęli małą z kąpieli. Przyglądając się im, powiedział bardziej do siebie niż do nich: „Ładna dziewczynka”.

W dzień wigilijny przed południem Zofia ubrała się, żeby wyskoczyć po ostatnie zakupy – pieczywo, jakieś jarzynki i kilka drobiazgów, których brakowało.

– Wszyscy powinniśmy wyjść – powiedział Maciek. – Przecież święta nie są po to, żeby bez przerwy siedzieć przy stole.

– Ale wszyscy nie możemy – oponowała Zofia. – Jest jeszcze tyle do zrobienia przed kolacją wigilijną.

– E tam! – przerwał jej Maciek. – Jest armia ludzi do roboty, a powietrze nikomu nie zaszkodzi. Przed ratuszem postawili choinkę, trzeba ją zobaczyć. Przeczytałem też w waszej lokalnej gazecie, że Rotunda w tym roku będzie oświetlona.

– Rotunda jest za daleko. Dzisiaj nie ma na to czasu. Zresztą ktoś musi zostać z Teofilem.

- A Teofilowi nie należy się trochę powietrza?
- On nie da rady. Od dawna tak daleko nie chodzi.

Maciek najwyraźniej był w swoim żywiole. Nareszcie mógł kimś dyrygować, coś organizować. Prace w kuchni i pogaduszki nie są dla niego. To urodzony przywódca i człowiek czynu, jak sam lubi o sobie mówić. Musiał się biedak wczoraj wynudzić – pomyślała Kasia.

– Ja też pójdę z wami – oświadczył niespodziewanie Teofil. – Już się ubieram.

– Pomogę ci, tatusiu – zaofiarowała się Pelasia.

Odkąd Teofil zaczął chorować, Pelasia opiekowała się nim bardzo czule. Goliła go, pomagała w ubieraniu, podawała lekarstwa. Gdyby matka na to pozwoliła, karmiłaby go jak dziecko, ale Zofia uważała, że taka nadopiekuńczość uczyni z jej męża kalekę. Teraz też Pelasia najpierw pomogła ubrać się ojcu, potem poszła po swoje palto, żeby poczekać z nim na dworze, aż inni będą gotowi. Bo ku zadowoleniu Maćka wszyscy zapalali nagle chęcią spacerowania: Piotr, który lubił się tu wysypiać po porannych apelach o świcie w swojej jednostce, Ania z mężem i Norbercikiem, a także Kasia, która ubrała córeczkę w puchowy kombinezon, posmarowała jej buzię kremem i włożyła ją do wózek, otulając kołderką. W czasie gdy zakładała palto, Maciek wyprowadził wózek na zewnątrz.

Jeszcze nie byli wszyscy gotowi, kiedy spanikowana Pelasia, która dopiero co wyszła za ojcem, otworzyła z rozmachem drzwi i zapytała:

- Mamo, czy tata tu wrócił? Bo widziałam, jak wychodził, spieszyłam się, żeby do niego dołączyć, a jego nigdzie nie ma.
- A Maciek? Może jest z Maćkiem? On przed chwilą wyszedł z wózkiem.

- Jak to wyszedł? Nie ma go tam.
 - Powariowaliście? – roześmiała się Zofia. – Pewnie są już pod ratuszem. Przecież się nie rozpuścili.
 - Och, kto jak kto, ale Maciek to potrafi – powiedziała Kasia.
 - Co ty opowiadasz, dziecko?
 - On zawsze gna przed siebie, nie oglądając się, czy ktoś za nim nadąży. Już nie raz się pogubiliśmy. Zwłaszcza wtedy, gdy ja pchałam wózek.
 - Teraz on jest z wózkiem, nie bój się, nie zginie ci.
- Rozmawiając tak, weszli na plac Mickiewicza i od razu zobaczyli Maćka z wózkiem, zmierzającego ku schodom ratusza, na którego pierwszym podeście ustawiona była choinka. Ale Teofila tam nie było. Nie mógł zaplątać się w tłumie, bo oprócz dwojga dzieci w wieku szkolnym i pojedynczych przechodniów nikt się przy choince nie gromadził. Było puściej niż normalnie w ciągu dnia; wiadomo, ludzie zajęci przygotowaniami do Wigilii.
- Może jest na schodach albo gdzieś za kolumnkami pod schodami. Podbiegnę tam, żeby go znaleźć – odezwała się Pelasia.
 - Ty szukaj po prawej stronie, ja po lewej – zaproponował Piotrek.
 - A my popilnujemy od frontu – zadeklarowała się Ania z mężem.
 - No to szukajcie go, a ja tymczasem załatwię pieczywo – powiedziała Zofia i weszła do piekarni „U Turka”, przy której się właśnie znalazła. Za chwilę wyszła z torbą pełną bułek i chlebów. Odebrała je tylko, bo były wcześniej zamówione, i dołączyła do Kasi i Maćka przyglądających się choince. Ania z mężem biegali za Norbertem, który ganiał po placu jak piesek spuszczonej ze smyczy.